Nr. 11. Rok I.



Cena prenumeraty kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 zltr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austryackich 1 zlr. 40 c.

Poznań, 11 Marca 1871.

Redakcja przy ulicy Berlińskiéj Nr. 11.
Ajencje:
Lwów: Milikowski, Gubrynowicz & Co.
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

TREŚĆ: Od Redakcji. — Olga, księżna Ruska. Naszkicował ks. Lic. Cht. (Ciąg dalszy.) — Pod jednym dachem, powieść W. Skiby. (Ciąg dalszy.) — Na rozdrożu, wiersz Wł. Ordona. — Z moich wspomnień. O życiu towarzyskiem w Warszawie przez Paulinę z L. Wilkońską. (Ciąg dalszy.) — Kronika Tygodniowa. — Korespondencje: Z Krakowa 28 lutego i 1 marca. Z Warszawy. — Szkice z podróży w Tatry przez Walerego Eljasza. (Ciąg dalszy.) — Skrzynka do listów.

Od Redakcji.

Miejscowych abonentów pisma naszego zawiadomiamy niniejszem, że od 1go kwietnia odbierać będą Tygodnik co sobotę bez żadnéj dopłaty za przesyłkę. W tym celu upraszamy o podawanie dokładnego adresu w Eksp. Dzien. Poznańskiego, która przyjmuje prenumeratę na cały Poznań.

Zamiejscowym abonentom obowiązana jest poczta dostarczać Tygodnik regularnie, i do niéj należy zanosić wszelkie zażalenia, gdyż tutejszy urząd pocztowy odbiera każdy numer co tydzień w piątek.

Przyjaciołom naszym z Krakowa i Lwowa donosimy, że pierwszym na ręce p. Friedleina, drugim zaś przez pp. Gubrynowicza i Schmidta pismo nasze przesyłamy.

Z prac obszerniejszych pomieścimy w następnych ćwierćroczach:

1. **Historja siwego włosa**, powieść współczesna Władysława Łozińskiego.
2. **Strzaskana lutnia**, z wspomnień ostatniego powstania — poemat Hen. Merzbacha.
3. **Kajetan Węgierski** — studjum literackie Walerego Przyborowskiego.
4. **O Mazurach** — przez Dr. Wojciecha Kętrzyńskiego.
5. **Naród zmartwychpowstały**, przez Łukasza Wielkopolanina.
6. **Studjum psychologiczne nad Poznańskiém** przez Poznańczyka.
7. **Wycieczka do Saskiéj Szwajcarji**, przez Hr. na Lodowéj Turni.
8. **Kilka kartek do filozofji**, przez Czesława Mazepę.
9. **Żywot św. Wojciecha w obec historji**.

OŁGA
księżna Ruska.

Naszkicował
ks. Lic. Cht.
(Ciąg dalszy.)

V.

Trudne to jednak było zadanie, którego się podejmowała Olga, i ciężkie brzemie brała na słabe barki swoje w owéj chwili. Drewlanie bowiem świeżem zwycięztwem upojeni, mogli byli łatwo w razie pomyślnego dla nich obrotu wojny, pociągnąć do buntu i inne jeszcze, świeżo sholdowane Słowian szczepy. Jakoż rzeczywiście Drewlanie nie zasypiali sprawy i bądź co bądź Kijów posiąść chcieli, bo kto kniaziem był Kijowa, ten miał już jakoweś nominalne prawo do przewodzenia innym pobratymcom najbliższym. Ale nietajnem też było Drewlanom, że z Olgą niełatwa była sprawa i ztąd,

znając ją jako niewiastę nieugiętéj i żelaznéj woli, wolą się do układów z nią uciec i podstępem zająć, czego w otwartem polu wywalczyć się bali. Proponują jéj przeto zamęście z księciem ich, Małem[1]), ze Światosławem zaś, jéj synem, nie liczą się wcale: „a Światosława weźmiem i zrobim z nim, co zechcemy“[2]), — mówią sobie wedle Nestora. Chodziło tu więc po prostu o Kijów i całą właść Igorową, przyczem ręka Ołgi podrzędną tylko odgrywała rolę. Położenie atoli matki, która przedewszystkiém pragnęła synowi tron uratować, wcale nie było łatwem.

Zresztą sama Ołga nie czuła się, po świeżéj porażce swych wojsk, do otwartego boju na siłach i dla tego ucieka się do podstępu. Przyjmuje tedy z udaną uprzejmością wysłanych do niéj Drewlan i przystaje rzekomo na ich propozycje, a myśli o tem, jakby zdziesiątkować ich siły i dopiąć z góry zamierzonego celu. Jakoż podstęp udał się zupełnie, i w dwa lata potem gród stołeczny Drewlan, Korosteń, leżał w gruzach, a upokorzeni jego mieszkańcy kładli ciężką daninę u nóg zwycięzkiéj kniahini Kijowa.

Trudno dzisiaj dociec, jakim sposobem zdołała Ołga ułudzić Drewlan, bo to, co opowiada Nestor, tak brzmi bajecznie, a zarazem przedstawia nam jéj charakter w tak nieludzkich i jaskrawych barwach, że trudno a raczéj nie podobna temu dać wiary. Wedle niego bowiem każe Ołga pierwsze poselstwo przynieść swoim poddanym w łodzi, w któréj Dnieprem przypłynęło, na uroczyste posłuchanie, i w téjże łodzi żywcem zakopać. A potem śle orędzie do Drewlan, aby przysłali jeszcze jedno, ale świetniejsze posłów dobranych grono, i tych w łaźni każe dusić. A poczciwi Drewlanie niczego a niczego się nie domyślają i idą, jak owce na zabicie. Wreszcie Ołga wybiera się do Korostenia, i tam na grobie męża każe wyprawić wielką „tryznę“, przy któréj Drewlanie raczą się do zbytku miodem, i tak upojeni w liczbie 5,000 padają ofiarą mściwéj Ołgi, która ich wszystkich wymordować każe. Spłatawszy im takiego figla, wraca najspokojniéj w świecie do domu, a Drewlanie poczciwi dziwują się temu, co się stało i czekają cierpliwie, aż Ołga wielkie wojsko zbierze i oblegnie Korosteń.

Podobnie jak Nestor, opowiada całe to wydarzenie Herberstein[3]) i Sarnicki[4]). — Najprawdopodobniéj atoli przedstawia zdarzenie to Długosz, który krótko opowiada, że Ołga pozornem zgodzeniem się na propozycją Drewlan zwabiła ich księcia, Miskina, w zasadzkę, i niespodzianie napadniętego z całym 5,000cznym orszakiem w pień wyciąć kazała. Niewątpliwie tedy Drewlanie, pozbawieni wodza i starszyzny, która z nim razem poległa, nie śmiejąc stanąć w otwartém polu, zamknęli się w grodyszczu swoim, a broniąc się tutaj zacięcie, wytrzymali długie oblężenie, aż Ołdze się wreszcie udało pożar w ich mieście zaniecić.

Jakim fortelem Korosteń wpadł w ręce wroga, trudno na pewne oznaczyć. Nestor, a za nim wszyscy inni prawią o tém, że nasza kniahini zażądała od Drewlan, jako jedynéj daniny, po 3 gołębie i 3 wróble z dworu, a gdy te jéj wręczono, puściła je wszystkie na wolność, poprzywięzywawszy im „czer“, w płatki obwinięty do nóg. W ten sposób miał zgorzeć gród cały, bo gołębie zaniosły pożogę na własne strzechy swoje. — Nietrudno tu wszelako się domyślić, że pomysł ten zrodził się dopiero w Kijowo-pieczarskiéj celi, kędy bogomodlca Nestor kronikę swą pisał, bo nawet nie trudził się tyle, aby objaśnić czytelników swoich, jakim sposobem on „czer“, obwinięty w płatki, a przywiązany do nóg wróbli, mógł się zapalić[1]). Tyle pewna, że Drewlanie po długiéj, mężnéj obronie poddali się dopiero wtedy, gdy nad ich głowami wybuchnął pożar, niszczący ich domy drewniane.

VI.

Najgroźniejszy więc wróg, od którego najbliższe groziło niebezpieczeństwo, został upokorzony i w ciężkiéj daninie hołd złożył niewieście męzkiego serca i ducha. Chwilowe tedy niebezpieczeństwo usuniętem było, ale wypadało jeszcze zapewnić się o wierności poddanych po innych częściach rozległego księstwa, a mianowicie zaprowadzić silną organizacją, uregulować „pogosty“, „danie i obroki.“ Roku więc następnego wybiera się Ołga na objazd kraju, i zacząwszy od Nowogrodu wszędy zawieszać każe znamiona swoje, ustanawia daniny, zakłada sioła i miasta, a na rzekach buduje mosty i przewozy. „Lata 6455 (955), opowiada Nestor[2]), zaszła Ołga do Nowogrodu i ustanowiła nad Mstą pogosty i danie, a nad Łgą pogosty, obroki i danie[3]); łowiska jéj są po całym kraju, znamiona i miasta i pogosty, i sanie jéj stoją w Pskowie po dziś dzień, a przewiesie (perewiesisza) na Dnieprze i na Deśnie, i jest sioło jéj Olżyce aż dotąd. I urządziwszy to, wróciła do syna swego, do Kijowa, w miłości macierzyńskiéj z nim przebywając.“

Jak długo przebywała Ołga z tymże swoim synem, Świętosławem, w Kijowie, i jak długo rządy za niego sprawowała, trudno na pewne obliczyć przy nieopisanym zamęcie, jaki właśnie co do chronologji Ołgi zachodzi. Odkładając więc jeszcze na późniéj tę zawiłą kwestją, pójdziemy w opowiadaniu daléj.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

[1]) Różni różnie tego księcia zowią. Nestor p. 598 nazywa go Małem: „bie bo imię jemu Mał.“ — Herberstein: Rer. Moscovit. Comment. ed. Bazyl. 1571. p. 8. zowie go Malditus. — Długosz ed. Lipsk. 1711. ks. I. p. 49. zowie go Miskinem.

[2]) Nestor p. 597: „i stworim jemu jakoże choczem.“

[3]) Herberstein: Rerum Moscovit. Comment. ed. Bazyl. 1571. pag. 8.

[4]) Sarnicki: Annal. Polon. ed. Lipsk. 1711. L. VII. p. 1039.

[1]) Głośnym jest ten podstęp w kronikach normandzkich, którego miał użyć Gurmund, zdobywając z Saksonami gród Cyresestrję (Chichestre) w Brytanji, spaliwszy go za pomocą wróbli. Podobnegoż podstępu używał Harald Duński w Sycylji i inni. Kruse Chron. nordm. str. 171 i 445. Bielowski Obj. Nestr. pag. 855.

[2]) Nestor p. 602.

[3]) „Pogost“ było niezawodnie tem, co u nas zwano „powód, powóz, przewóz, stan“ — a co zasadzało się na obowiązku dostarczania przejeżdżającemu księciu, albo przeciągającemu wojsku, podwód i przewodników. „Danie“ były jedynie w ziemiopłodach i futrach odstawiane i zwierzętach, co w naszem prawie „narzaz, obiedne“ zwano. Szajnocha Jadw. T. I. p. 98. Rzyszcz cod. dipl. I. 198, 102, 215. Gładysz: Ż. bl. Prandoty 258 i i.

Pod jednym dachem.

Powieść

przez

Wołodego Skibę.

(Ciąg dalszy.)

Według etykiety powszechnie w Krakowie przyjętéj, gdy kto od kogo o sobie tyle słów pochlebnych usłyszy, ile ich Pilski od swego gospodarza usłyszał, powinien się bezwłocznie taką samą monetą wywzajemnić. Pan Sebastjan czekał wyraźnie na to, ale Pilski pod tym względem nie znał widać zupełnie etykiety krakowskiéj,

bo milczał i rozglądał się do koła, jakby szukał przedmiotu do dalszéj gawędki. Trzeba było wyraźnie ciągnąć go za język.

Pan Rękalski odchrząknął tedy i zagadnął:

— Ho! ho! panie ten... a panu dobrodziejowi prace moje naukowe niewiadome?...

Można było się z odpowiedzi wywiązać także ogólnikowemi pochlebstwami, lecz Pilski tego widać nie chciał, nie lubił lub nie umiał, bo odpowiedział prostodusznie:

— Nie Krakowianin jestem, panie dobrodzieju...

— No, ale w Galicji, panie ten, musisz przecież znać archeologów?

— Rzeczywiście znam kilku...

— I żaden z nich, panie ten, nic panu o mych pracach nie mówił?...

— Przyznam się panu dobrodziejowi, że żaden.

Pan Sebastjan z niezadowoleniem pokręcił głową, pomrukując:

— To dziwna, panie ten, to dziwna!...

Nastąpiła nowa chwila milczenia, które jednak niedługo przerwał pan Sebastjan.

— Powiedzże mi, panie dobrodzieju, panie ten, kogo pan znasz ze znakomitszych archeologów galicyjskich?...

— Znam barona Holza, w Myślenicach...

— I pan baron Holz, panie ten, nic panu dobrodziejowi o moich pracach nie wspomniał?...

— Ani słowa, łaskawy panie.

— A! to już nie do uwierzenia, panie ten...baron Holz zaszczyca mnie, panie ten, swoją korespondencją, i panie ten, jest jednym z tych, co mi przyznają znakomite zasługi.

Tym sposobem pan Sebastjan zdołał nareszcie, przy przy pomocy nieobecnego barona Holza, zarekomendować się swemu lokatorowi, że i on także jest znakomitością.

Pilski, który dotąd, może mimowolnie, był niegrzecznym, odezwał się nareszcie raz, jak na grzecznego i dobrze wychowanego człowieka wypadało.

— Baron pod tym względem jest wyrocznią.

— Ho! ho!... panie ten, — potwierdził pan Sebastjan, — i ja powiadam, że baron Holz pod tym względem jest wyrocznią...

Nie wiemy, czemu Pilski na te słowa uśmiechnął się tak widocznie, że potrzeba było ten uśmiech pokryć natychmiastowem zagadaniem, ażeby się nie stał impertynencją. Odezwał się zatem:

— Nad czemże pan dobrodziéj pracuje?

— Ja, panie ten, panie dobrodzieju, — odrzekł z dumą Rękalski, — od trzydziestu czterech lat nad jednem i tem samem... nad smokiem.

Choć nie archeolog, bohatyr nasz wiedział jednakże bardzo dobrze, że smoki nie należą do archeologji, odpowiedź ta zatem tak mu się wydała dziwaczną, iż nie mógł się wstrzymać od powiedzenia sobie w myśli:

— Ten stary oczywiście ma bzika.

Zapewne jednak bardzo krótko pozostał przy tem przekonaniu, bo pan Sebastjan, skoro tylko wpadł na swój ulubiony temat, na przedmiot zajęć całéj połowy życia, stał się nagle bardzo wymownym i opowiedział swemu lokatorowi wszystko, co o smoku przed nim wiedziano, co odkrył, co jeszcze odkryć się spodziewa, i co po nim pozostać może do odkrycia dla potomności. Jeżeli z tego nader nader szczegółowego i pełnego erudycji opowiadania, Pilski nie wyciągnął jeszcze wniosku, że pan Sebastjan nie miał bynajmniéj bzika, lecz się bardzo poważnie zajmował jedną z najpoważniejszych nauk, to trzeba wyznać, iż nasz bohatyr był bardzo wymagający, — bardziéj, niż sam baron Holz i całe Towarzystwo Naukowe.

Opowiadanie to było powodem, że wizyta p. Sebastjana u nowego lokatora przciągnęła się dosyć długo, bo aż przeszło godzinę.

Przez tę godzinę, panna Iza rosła.

Była ona najmocniéj przekonaną, że wyfraczony i wyrękawicznowany pan Sebastjan dlatego jedynie tak długo bawi u sąsiada, że go sąsiad zatrzymuje uporczywie, pragnąc się bliżéj zaznajomić i wejść w zażylsze stosunki.

Z początku zatem z każdym kwadransem, później z każdemi pięcioma minutami, w końcu z każdą minutą miléj jéj się robiło na serduszku.

Zrazu mówiła sobie, że Pilski z ochotą przyjmie zaproszenie pana Sebastjana, późniéj przyszła do wniosku, że niezawodnie czekać nawet nie będzie zaproszenia, ale sam będzie prosił o pozwolenie bywania i w ten sposób oficjalnie niejako zamelduje swą konkurencją.

Opowiedziała to siostrom, siostry były tegoż samego zdania.

Po godzinie pan Sebastjan wrócił do domu. Wszystkie trzy córki obstąpiły go z zapytaniami:

— No i jakże, papeczko, no i jakże?...

— Wystawcie sobie, panie ten, że ten człowiek, panie ten, nic nie wiedział o moim smoku i o mojéj siarce...

— O smoku i o siarce, — przerwała panna Iza,— późniéj nam papeczka opowie... tymczasem czy będzie bywał?...

— A no, panie ten... będzie... będzie... Ach to dziwne, że zna barona Holza, a nic, panie ten, o mnie nie wiedział.

— Późniéj o baronie Holzu, papeczko, — przerwała znów najmłodsza córka, — ale czy sam prosił o pozwolenie bywania?

— Nie, Iziu, panie ten, ja go zaprosiłem, jakeście chciały.

Pannie Izie w pierwszéj chwili kwaśno się zrobiło na tę wiadomość, ale pocieszyła się prędko.

— To wszystko jedno, — zawołała, — prosić o pozwolenie bywania wyszło już z mody... A czy z ochotą przyrzekł, że będzie bywał?...

— Z ochotą, panie ten... ale to mnie dziwi, że nic o mnie nie wiedział.

Panna Iza zaczęła biegać po pokoju i klaskać w ręce, jakby jéj nagle wiek Kazi powrócił, a biegając i klaszcząc, wołała:

— To dobrze! to doskonale! to wyśmienicie!...

Te objawy radości zaczęły niecierpliwić pana Sebastjana.

— I czego ta dziewczyna, panie ten, tak się cieszy, — rzekł, — czy z tego, że ten pan sąsiad nic o mych pracach naukowych nie słyszał?...

Panna Izydora zbyt była rozradowana, żeby się mogła wytłomaczyć. Musiały ją wyręczyć starsze siostry.

— Ale gdzież tam, papeczko, — rzekła panna Teodora, — zupełnie z czego innego.

— A więc, panie ten, z czegóż?...

— Oto z tego, — objaśniła panna Eleonora, — że się nam nareszcie zaczynają trafiać archeologowie do wzięcia.

Słowa te były niby promieniem światła dla pana Sebastjana Rękalskiego.

— Teraz, panie ten, rozumiem wszystko ...— rzekł.

— Zakochał się w Izi, — szepnęła mu do ucha panna Teodora.

Panna Eleonora kładła tymczasem w drugie ucho ojcu:

— Szaleje za nią... dla niéj się tu tylko sprowadził...

Zwierzenia te rozrzewniły pana Sebastjana.

— To dobrze, moje dzieci, to dobrze, — rzekł wzruszony, — nic nie mam, panie ten, przeciw temu... już teraz przecież wie o moim smoku i o siarce!...

A dla mnie będzie na starość pociecha, bo kiedy zięciów znajdować zaczynam, to się przypuszczać godzi, że kiedyś, panie ten, i szkielet smoka wynajdę.

Pan Sebastjan ucałowawał po kolei wszystkie trzy córki, potem zrzucił uniform galowy i przywdział codzienne suknie, a następnie powrócił do zwykłych zajęć, to jest wyszedł na miasto, wsiadł do dorożki i kazał się wieść do Podgórskiego mostu, na ten dzień bowiem wypadała wycieczka do Swoszowic, w celu robienia dalszych naukowych poszukiwań nad siarką.

Reszta dnia upłynęła pannom Rękalskim rozkosznie. Naradzały się, czem przyjąć sąsiada, gdy przyjdzie z wizytą. Narada taka była bardzo obfitym do pogawędki przedmiotem, i wystarczyła im aż do wieczora.

Panna Iza od czasu do czasu przeglądając się w zwierciedle, znajdowała się coraz piękniejszą.

Nie zdawało się jéj to wcale, nie miłość własna ją zaślepiała i zwierciadło nie kłamało. Było tak rzeczywiście, — panna Iza pięknaiała widocznie, bo była szczęśliwą, a szczęście jest najlepszym kosmetykiem, to tylko bieda, że takim nietrwałym zazwyczaj!...

W domu tymczasem łamano sobie głowy nad rozwiązaniem niezmiernie ważnéj zagadki:

— Po co gan Rękalski wygalowany chodził do pana Pilskiego?...

Ciocia Petronela, która o baronównie i kucharzu zapomniała już zupełnie, nie miała bowiem zwyczaju nigdy się długo upierać przy swoich własnych domysłach, choć w pierwszéj chwili gniewała się okrutnie, jeżeli kto im nie dowierzał, rozumowała sobie, że między Pilskim a panną Izą musiało już przyjść do oświadczyn i że pan Rękalski zaniósł nowemu lokatorowi odpowiedź, — naturalnie przyzwalającą, a że bawił tak długo, więc musieli układać z sobą warunki przyszłéj intercyzy.

Uwierzywszy w swoje domysły, panna Petronela pobiegła do pani Gacińskiéj, ażeby się niemi podzielić i naradzić zarazem, jaką ma suknię włożyć na ślub Izi.

Pani Gącińska zgromiła ją, jak zwykle, że bajki nosi po domu i z muchy wołu robić gotowa. Ciocia wytłomaczyła to sobie również jak zwykle, że pani Gącińska szczęścia Izi zazdrości i poszła daléj kolportować nowinę. —

Odwiedziła panią Tucką, zajrzała przez okno do Porwiczów, pobiegła w końcu do Jadwigi.

— Wie pani, — zawołała wchodząc, — że najdaléj w przyszłym tygodniu będą z pewnością zaręczyny!...

— Czyje?... z kim?... — zapytała Jadwiga.

— Izi!... Izi!... z panem Pilskim, powiadam pani.

Jak to już raz spostrzegliśmy, między Pilskim a Jadwigą istniał jakiś tajemniczy stosunek, który sprawiał, że na biednéj samotnicy wszelka wzmianka o tym człowieku wywierała bardzo przykre wrażenie. Jadwiga nabrała jednak już tyle doświadczenia na Babiéj wyspie, że wiedziała, iż nie powinna nazbyt widocznie okazywać swoich wrażeń. Choć więc i teraz boleśnie oddźwięknęło w jéj duszy nazwisko nowego lokatora, postarała się jednak pokryć to uśmiechem, i odrzekła:

— Żartuje pani, panno Petronelo.

Ciocia zaczęła się przysięgać, to jednak nie przekonało jéj wcale.

— Niepodobna... nie może być, — powtarzała uparcie, aż ciocię Petronelę na prawdę zirytowała ta niewiara.

— To pewna swego gagatka, — mówiła sobie w duchu, — ani chce wierzyć, że ją zdradza i opuszcza!...

Ponowiła przysięgi, zapewnienia, argumentacje, i tak tem znudziła Jadwigę, że ta udała nareszcie, że wierzy.

Dopiąwszy swego, ciocia powróciła do siebie i pozostawiła Jadwigę samą.

Przez jakiś czas po odejściu roznosicielki nowin Jadwiga spokojnie pracowała, nie myśląc wcale o usłyszanéj dopiero przed chwilą nieprawdopodobnéj wiadomości.

Po niejakim czasie jednakże mimowolnie przyszła jéj na myśl uwaga:

— Jednak w tem coś być musi, bo tu wszyscy zbyt uparcie gadają, że on się myśli żenić z jedną z panien.

Uśmiechnęła się tylko na tę uwagę i powiedziała sobie:

— Głupstwo!... znam go zbyt dobrze!... tak dalece gustu nie stracił.

Bywają czasem myśli tak uprzykrzone, jak muchy. Spłoszysz ją z nosa, siada ci na czole, odpędzisz z czoła, powraca za chwilę i znowu ją masz na nosie.

Taką myślą było dla Jadwigi przypuszczenie:

— W tem jednak chyba jest coś prawdy...

Odrzucone raz, przypuszczenie to powracało, czy też rodziło się na nowo za chwilę, i silniéj jeszcze czepiało się myśli, i trudniéj jeszcze było je odpłoszyć. Za pierwszym razem wydawało się tylko dziwacznem i śmiesznem, za drugiem już nie wyglądało tak rażąco, trzecim powrotem przyniosło z sobą cokolwiek prawdopodobieństwa, tyle, co małe ptaszę śniegu na skrzydłach w zimie, i prawdopodobieństwo to topniało też i rozwiewało się, jak śnieg. Lecz natręt powracał znowu, i wyglądał coraz prawdopodobniéj, aż wreszcie po jakiéj godzinie dumania, Jadwiga powiedziała sobie:

— A może!... jestże co niepodobnego na świecie?...

Serce jéj się ścisnęło na tę myśl, robota wypadła z ręki. Nie schyliła się, żeby ją podnieść, lecz pozostała na krześle blada, nieruchoma, bezwładna. Czuła, że łzy by jéj ulżyły, że z niemi spłynąłby z piersi ciężar, który je gniótł, ale boleść, jakiéj doznawała, nie chciała się rozpłynąć w łzę.

W takim stanie zastała ją Kazia. Nawet wejście strasznego dziecka nie zbudziło Jadwigi z téj bolesnéj zadumy, z tego snu przykrego na jawie.

— Co pani jest?... pani chora?... — zapytała przelękła Kazia.

Jadwiga nie odrzekła ani słowa.

— Pani się gniewa na mnie? — badało niby-dziecko, ciekawie patrząc jéj w oczy. Oczy jednak nic nie mówiły i milczały, jak usta.

Może się Kazi zdawało, że to ona jest przyczyną tego zmartwienia. Zdawać jéj się tak mogło, bo nieraz na nią narzekano na Babiéj wyspie i niejednemu dała się we znaki. W takich wypadkach, gdy na siebie wywołała gniew, Kazia lubiła przepraszać i pieszczotami zjednywać sobie napowrót obrażone serca.

Téj saméj taktyki użyła i teraz. Rzuciła się Jadwidze na szyję, zaczęła ją całować i pieścić.

Pod wpływem tych pocałunków i pieszczot przesiliła się wreszcie boleść Jadwigi, i łzy jéj z oczu płynąć poczęły.

— Pani płacze?... czy na mnie?... — zapytała Kazia.

— Nie, Kaziu.

— A więc czego pani płacze?...

— Nie wiem...

— Czy tego, że ten pan się żeni?...

Z ust Jadwigi mimowolnie raczej, niż rozmyślnie wybiegł wyraz:

— Może.

Późniéj otarła oczy chusteczką, wstała z krzesła i rzekła jakby do siebie:

— Trudno!... więcéj płakać nie będę.

Tegoż wieczora jeszcze Kazia zaniosła wiadomość o téj rozmowie pannie Izydorze, która naturalnie łzy Jadwigi na jeden sposób tylko wytłomaczyć sobie mogła:

— Zadrości mi... tak... wyraźnie mi zazdrości.

Obudzać zazdrość, być przedmiotem zazdrości, znaczyło to być zwycięzką rywalką. Panna Iza tryumfowała nie nad starszą od siebie lub rówieśną, nie nad brzydszą lub równie uposażoną wdziękami, ale nad młodszą i piękniejszą. Większego, zupełniejszego tryumfu wymarzyć już niepodobna.

Szczęście jednak nie zaślepiło jéj, — rozkosz z tryumfu nie wykluczała litości dla pokonanéj w romansowym turnieju rywalki.

— Biedna, — pomyślała wzdychając, — żal mi jéj serdeczny... no, ale przecież on nieostatni na tym świecie,... młoda... ładna... zostanie się ktoś i dla niéj.

Widać ztąd, że panna Iza nie miała w gruncie złego serca.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Na rozdrożu.

Stanąłem z duszą mętną na rozstajnéj drodze!
Oto lat już niemało ścieżką życia chodzę —
Pielgrzym cichy, a idąc przez ból, czy radości,
Wiernie niosłem zaszyte w pamiątek szkaplerzu,
Zaczerpnięte w piosence niańki i pacierzu —
Dwie, Ojczyzny i Wiary, najświętsze miłości.

Na nich we dnie pokusy kładłem skroń zemdloną,
Niemi w suszę życiową odświeżałem łono,
Niemi, kiedy widziałem, jak téj ziemi dzieci,
Ciśnie noga tyranów cięźka i obrzydła,
Uzbrajałem modlitwą, jak w dwa orle skrzydła,
Posyłając do nieba; pewny, że doleci!

Czułem, że jedna drugą w swych objęciach tuli:
Nie próżno ojce w krzyże rękojeście kuli,
Niepróżno swe sztandary z Marją Częstochowską,
W hymnie „Bogarodzicy“ do walki kąpali,
I nie próżno na ostrzu poświęconéj stali,
Nieśli wolność, najdroższą ludom córę boską.

Niepróżno marmurowéj podobna kolumnie,
Piersią na Wschód, ojczyzna nasza stała dumnie.
Głową tonąc w niebiosach, a tykając ziemi
Stopami, po tatarskich szlakach skrwawionemi,
W upadek każdy psalmem jęcząca pokutnym,
W powstanie hymn podnosząc ufnością natchniony,
I nad ludu uciskiem dojrzałym, okrutnym,
Bijąc ręką mieszczańską w Wielkanocne dzwony, —

Niepróżno! Ja to czułem; czułem, że ta stałość
Podwójna, zwalczy Siły i Schizmy zuchwałość;
Że jak drogie balsamy w Egipskiéj mogile
Nakazując niewoli rozkładowéj sile,
Potężniejsza, niż wilgoć tylu lat grobowa,
Ciało nasze aż do dnia odrodzeń przechowa.

Wówczas, boską swą twarzą, na zawsze podwójna,
Pójdzie, jak słup ognisty, po Mojżesza drodze,
Wiara z Matką-Ojczyzną naprzód — jak dwa wodze,
Za niemi fala ludu siermiężnego hojna,
W krzyż i miecz Jerychońską potęgą zadźwięczy,
I zaleje czerń wrogów potopem — bez tęczy!

Tak czułem! Toż mi świata szarlatańskie karły,
Z piersi mego szkaplerza Ojców nie wydarły:

Szedłem za matką naszą — przez ów las boleści,
Który już tyle cierni narodowych mieści...
I co rok nowe kolce puszcza z ziemi krwawéj;
Szedłem i wśród kramarskiéj tego świata wrzawy
Wciąż wołałem na dziatwę, co błądzi strapiona,
Przez dwa wielkie jéj ducha i ciała imiona.

O był nas legjon cały z takiem w ustach hasłem!
Lecz oto na ognisku narodu przygasłem,
Gdzie matka nasza siedzi, skry pieszcząc ostatnie,
Szatan stanął i szyki połączone — bratnie
W nową i nieznajomą chce pociągnąć drogę:

Oto już w górę wznieśli niewstrzymaną nogę!
Od gromadki skupionéj odłącza się rzesza,
Z wielkim krzykiem od domu chwiejnego pospiesza,
Wyrywa krzyż nadrożny, pełen wieńców z ziela,
Ten krzyż nasz narodowy i znak Zbawiciela
Unosząc, woła, — Matkę przestępując w progu: —
Ludu! z nami, — kto przeciw — ten przeciwko Bogu!

Pójdą! Przed nimi, bijąc w nietoperze skrzydła,
Wzleci córka ciemności — ambicja obrzydła,
Żądza władzy skrwawioną zakole ostrogą,
Dusz rozdarcie bezbożnie będą sieli drogą,
Wrogowi od nich zdobycz przybędzie obfita;
Napotkawszy ich — Polka-matka, drżąca spyta:
Kto oni? a gdy tęskne echa odpowiedzą,
Echa biegnące w ślady lasami i miedzą:
Rzymscy Targowiczanie — cofnie się strwożona,
Nie poznając tych dzieci, piersi swych i łona!

Pójdą! Biada potrzykroć tym, co tłumy wiodą!
Szafując karą piekieł i nieba nagrodą;
Jak Iskarjot: za srebrnik siły i powagi
Wydający swój naród sierocy i nagi
W ręce katów — by na krzyż łatwiéj go rozpięli:
To, co w cieniu poczęte — powróci do cieni,
I na tém drzewie władzy, na które się pięli,
Zwisną, ręką rozpaczy własnéj zaduszeni.

Lecz spyta Bóg o wielu — co jak ja zostali
Przy matce opuszczonéj — rozżaleni srodze,
I patrząc, jak dom nasz się nieobronny pali,
Stanęli, z duszą mętną, na rozstajnéj drodze.

Wł. Ordon.

Miłosław 23. 2. 71.

Z Moich Wspomnień.

O życiu towarzyskiem w Warszawie

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

Na jednym z następnych poniedziałków posłyszałam i drugą improwizacją. A jeżeli był kto z obecnych niewierzący, że to jest inspiracja jednéj niemal chwili, tylko przysposobienie poprzednie, powinien był ze swojego zwątpienia uleczyć się wtedy.

Deotyma wystąpiła, nie mając jeszcze zadanego wyrazu.

— Podaj pani słowo jakie — zagadał do mnie pan Leon Łubieński.

Już chciałam wymówić liczbę siedm, jako kabalistyczną — gdy w tem ktoś: Dzwon wyrzekł.

Wieszczka chwilowo pochyliła czoło — i myśl głębsza przysłoniła je widomie. Wtém, nie wiedząc pewnie o Dzwonie — bo nieco daléj siedziała — poszepnęła piękna księżniczka Helena Sanguszkówna: Serce. I wyraz ten uszów improwizatorki doleciał.

Z myślą o Dzwonie przeniosła się na Wawel:

„Słuchając w zachwycie,
Jak z chmury tęsknoty,
Westchnienia i grzmoty,
Rozsełał dzwon złoty.
Zacichł zwolna.“ —

Wieszczka doń przemawia:

„O dzwonie!
W kruszczowem twem łonie,
Zkąd moc ta kojąca,
Co strunę serc trąca?
Co serca przytrzyma,
Jak łódkę kotwica?
Co serca zachwyca,
Jak powrót pielgrzyma?

Ni struna lutnisty,
Ni trąba burzliwa,
Ni harfy płacz szklisty
Tych wrażeń nie budzi.
— Sam tylko głos ludzi
Zarówno porywa.“

Gdy scichłam nieśmiało,
Pierś dźwiękła śpiżowa;
A mnie się wydało,
Że słyszę te słowa:

„Głos ludzki od serca moc bierze tajemnie;
„Ja śpiewam jak człowiek, bo serce jest we mnie.
„Choć myśl się zabląka w szaleństwa bezdrożu,
„Jéj brak nie zabija: szalony żyć może!
„Lecz jeśli na chwilę ustaje serc bicie,
„Ta chwila ostatnia — bo w sercu jest życie!
„A człowiek jest sercem przyrody —
„A Bóstwo jest sercem wszechświata....“

I otóż myśl wyraźniéj i głównie skierowała do zadanego jéj później wyrazu: serce.

Widzi w pięknym obrazie, jak posłowie zdumieni z modrzewiowego wychodzą dworku — gdy ich Leszek dziecię, temi żegna słowami:

„Mym tronem serce Goworka!“

Dzwon rozbujał się znowu. Ucichł — i wieszczka mówi daléj:

„Spostrzegłam postać granitową,
„Która w katedrze z grobu wstając, łzawo
To jedno wyrzekła słowo:
„„Barbaro!...““

Bo serce Zygmunta — miłość jego dla Barbary, pozostanie na zawsze idealnym dla poety przedmiotem.

Dzwon znów się rozbujał:

„Gdy czucie kojarzy
„Ramiona narodów i stopnie ołtarzy,
„Natenczas się zowie radosną ofiarą.“

Dzwon umilkł. A poetka jawi nam przepiękną, białą postać, królewskiéj Jadwigi:

„Łuna biała
„Przewionęła nad dzwonnicą.
„Może mgła?.... lecz mnie się zdała
„Wilhelma oblubienicą.“
Dwa anioły zachwycone,
Jak kolosy przy niéj błysły:
Jeden jéj podał koronę —
I dźwignęła ją na skronie.
A gdy ją drugi w pogoni
Pochwycił drżącą i zbladłą,
Imię: Polska! z ust jéj padło —
I łzy rzuciła do Wisły.“

Cicho — cichuteńko było w około — że byłoby można upadające piórko posłyszeć. Ale gdy wieszczka wymówiła: Polska! wśród przybitéj Warszawy, gdy mówiła o całopaleniu, ofierze królowéj-dziewicy z uczuć swoich najdroższych dla kraju, którego stała się matką i opiekuńczym aniołem, — niby od razu wszystkich obecnych uderzyły serca, i poniosły w górę szmer żalu i modlitwę.

Poetka tak zakończyła:

„Choć dzwon nie myśli, choć dzwon nie działa,
„Jemu jednemu ludzkość nabożna
„Chrztu dozwoliła, — bo przeczuwała:
„Że samém sercem zbawić się można*).

W tém więc zakończeniu połączyła obadwa zadane sobie wyrazy.

Poniedziałek ten zgromadził poniekąd wszystko, co najrozumniejsze, najzacniejsze i najpiękniejsze było w Warszawie. Najpiękniejsze, bo z różnych stron kraju polskiego przybyłe dziewice, — niby kwietną w salonie składały wiazankę. Były pomiędzy niemi i dwie panny Chłapowskie z Poznańskiego, jednające sobie wdziękiem urody i powabem wychowania zajęcie ogólne. Obiedwie — dwa następnie anioły w sukienkach zakonnych — dziś już pożegnały ziemię.

Zacna ich matka, siadając przy mnie, poszepnęła mi:

— Pokaż mi pani Henryka Rzewuskiego, ciekawam go poznać. Ale mi go nie przedstawiaj!

Po chwili zrobił się ruch w salonie. Pan Henryk swój zwykły opuścił kącik. Przeszedł się zwolna, przystanął, zagadał do jednego, do drugiego. Zbliżył się ku nam — jakby przeczuciem wiedziony — i znowu przystanął. Wskazałam go pani Chłapowskiéj. Ścisnęła mi rękę. — Autor Listopada usiadł opodal —

*) Improwizacja „Dzwon“ umieszczoną była w Sobótce z mojego Album.

i opowiadał jakąś anegdotkę, któréj sens moralny był: że kobiety tajemnicy dochować nie umieją — a nadto jeszcze nie tylko, że powtórzą zaraz, co im powiedziano, ale przesadzą i skoloryzują inaczéj.

Spojrzał ku nam. Milczałyśmy. Potem przytoczył coś tam jeszcze na stwierdzenie tego, co był wyrzekł — ale już nie pomnę szczegółów.

Pan Henryk Rzewuski, trzeba przyznać, gdziekolwiek był, umiał towarzystwo ożywić. Mówił wiele, mówił głośno — a każde opowiadanie było okraszone dowcipem. Raził wprawdzie często niejednem... — ale był ostrożnym, i tylko w małych kółkach pozwalał sobie więcéj. Także i pod względem konserwatyzmu swojego — wsteczności — idei nam wstrętnéj — dość był oględnym, bo i zaraz na skorych a gorliwych trafiał oponentów. A wtedy nie upierał się bezwzględnie przy zdaniu swojém i objawionych zasadach. —

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRONIKA TYGODNIOWA.

Wiosna wraca! z całym czarem zieloności i woni gwarów ptaszęcych i szmeru rzek, co pęta zimowe rozkuły. Wiosna wraca — przed nią leci biały anioł pokoju z oliwną w ręku gałązką, ale smutne jego oblicze, jakby pełne przeczuć złowróżbnych, a pod stopą tli i dymi niecałkiem zagaszona pochodnia wojny. Czy nie buchną z niéj nowe płomienie?! My, cośmy widzieli, jak nożyce siły poczynają sekcją narodów, spoglądamy ze współczuciem ponurem na szarpniętą Francją. Znamy podobny prolog. —

Pokój i wiosna wraca! W téj chwili, kiedy po lasach pączki zbierają siły, by się otworzyć — kiedy ulice Poznania rojem ziewającéj jeszcze po śnie zimowym publiczności napełniać się poczynają, — a mikroskopijne lazarony biegną za miasto zobaczyć, czy nie starczy już murawy na poduszkę, i my chcielibyśmy rzuciwszy kłopoty i zajęcia literackie, z ciszą w sercu wyjść sobie na młode słońce! Gdzie tam! Niewolno. Obowiązek przykuwa do zaplamionego stolika — a życie nasze publiczne — w niezgodzie z resztą świata i naturą — rzuca nam w duszę echo burz swoich. Na nic się nie zda abstynencja! Myśleliśmy, że pod słomianą strzechą Tygodnika ukryci, zaparci wałem literatury cięższéj i ulotnéj, w pokoju zostać będziem mogli; tymczasem trąbka wyzywająca grzmi przed zwodzonym mostem, a zabłąkane kule i naszą siedzibą poczynają wstrząsać. Wdziewajmy przyłbicę! Przed nami wre i kipi walka — smutna walka! Znalazł się dla niéj historjograf. Znacież nową karykaturę? W naiwnym rysunku streścił kompozytor pozycją dwóch obozów: w dumnym spokoju pod chorągwią solidarności, opartą krzepko na prawie, ustawił większość, reprezentowaną przez Polaka-kapłana z krzyżem w ręku — przez dzielnego posła z ręką na statutach — przez liczną rezerwę mieszczan i oświeconego ludu, przed którymi stoi staropolska postać szlachecka, i skrzyżowawszy na piersiach ręce, z boleścią mierzy przeciwników. Któż oni? Spojrzyjcie! To olbrzymie pióro, w drżącéj namiętnością ręce wojowniczego księdza — te postacie ludzi stojących przy nim i za nim, a żądnych władzy — niechrześciańskie twarze tłumu, zalegającego plan dalszy, a gotowego do bratobójczego kroku — oto oni. Któż z nas nie podpisze pod nimi imion! Portretować nie było przyczyny — rysownik czuł to, i nie z braku odwagi podobieństwo ominął. Z braku odwagi! Piękny mi czas na bojaźni i grzeczności! Uczmy się od naszych przeciwników jędrności stylu. Chcąc nabrać wyobrażenia o dosadności polemiki ultramontanów, dość przeczytać w ostatnich numerach Tygodnika katolickiego jadowite wycieczki na ludzi, którzy się zajęli sprawą teatru, na Dziennik Poznański, Tydzień i t. d. Żaden może z czytelników, piastujących w duszy wspólne nam relikwie wiary, przed oczyma mając promienne łagodnością chrześciańską oblicze sędziwego proboszcza swéj parafji, nie uwierzy, ażeby te pianą parskające apostrofy wyjść miały z pod piór kapłańskich... A przecież (horresco referens) paszkwile te — to płody młodzieńczéj gromadki naszego kleru, mającéj wolne do popisu pole w łamach Tygodnika katolickiego. Echa przedrzeźniły się szyderczo temu nazwisku! Mamyż mieć jeszcze styl grzeczny?! Idźmy za szermierzami kościelnego pisma, zbierać materjały do trucizny, którą napawa swoje pióro. Zawiedzie nas pewnie na szczyt Brokenu dramatyczny, — a choćby na prozaiczną naszą Łysą górę, i podzieli się z nami dekoktem, który mu północne wiedźmy z zębów smoczych, języków jaszczurczych, i ziół trujących preparują! Precz z grzecznością! „Le meilleur moyen de n'être estimé de personne c'est de vouloir plaire à tous“ mówi la Rochefoucault — niech nam to posłuży za dewizę. Takieto organy wyrosły w ciemności naszego lenistwa i watowanéj moderacji. Na szczęście widnokrąg się wyjaśnia — powietrze się oczyszcza — może mieć będziem dzień biały! Zapowiadają nam pojawienie się wielkiéj liczby pism. Z nich najtęskniéj czekamy na Orędownik. Poświęcony sprawom klas średnich, redagowany przez ludzi, których przeszłość zaręcza, że narodowi narodowe, a Bogu boskie oddadzą, — piękną ma przed sobą przyszłość. W ślad za Orędownikiem efemeryczną działalność ma rozpocząć Kurjer polski — światu dziecęcemu zwiastują Promyk. O innych głuche tylko dochodzą wieści.

* * *

Jak pięknie słońce świeci! Biały kot, elf naszego ogniska przebrany, wyciągnął się po sybarycku na oknie i wąsami strzyże. Próżno! jeszcze teka nie schudła i przez połowę. Ze szpalt pism słowiańskich wygląda do nas, napierając się o powtórzenie, wiadomość o obfitéj działalności założonéj przez Strossmayera w Zagrzebiu Chorwackiéj akademji, która w ciągu lat czterech cały szereg cennych prac o Słowiańszczyźnie, szczególniéj południowéj, wydała. W spisie tym znajdujemy i życiorys znamienitego Purkiny'ego, którego autor, Dr. Szulek, czerpie z pracy ziomka naszego, Dr. Ferd. Nowakowskiego, wydanéj przed kilku laty w Warszawie. W chorwackiem piśmie „Wieniec“ odżyła w pięknym przekładzie „Marja“ Malczewskiego.—

Filologja słowiańska przywodzi nam na myśl naszego Lindego, którego stuletnia rocznica urodzin przypada na 8 kwietnia b. r. Z rozkoszą popieramy wymowny głos Redakcji Kłosów, projektujący uczczenie téj rocznicy zebraniem stypendjum, któreby nosiło imię zasłużonego jubilata.

* * *

A teraz rzućmy okiem na bieżące fakta. W ostatni poniedziałek w lokalu Tow. Przemysłowego mówił pan Wiktor Hłasko o telegrafie podwodnym — na przyszły tydzień zapowiadają się aż dwa koncerta, czy wieczorki muzykalne, bo p. Stysińskiego i p. Krasowskiéj, obydwa podobno z współudziałem amatorów i artystów — p. Merzbach drukuje ciekawy pamiętnik oficera z armji nadreńskiéj — a u p. Żupańskiego prócz poezji Bełzy, które zebrane razem mają wylecieć na świat ze skowronkiem — wkrótce kilka ważnych publikacji się

ukaże. Taki ruch u góry. Na dole pienią się żółtawe męty Warty i hardo uderzają na mostowe arkady, a odparte, wlewają się do piwnic i suteren na Śródce i Chwaliszewie. Szkoły zalane — wiosna wydarła nauce swoich ulubieńców. Na szczęście wzburzone wody poczynają już ustępować.

Podobno gdzieś tam ospa i tyfusy się srożą — podobno francuzcy goście przymusowi, w słodszą od pierwszéj niewolę kilku pań naszych wzięci, przez ślubny kobierzec iść mają — ale to podobno tylko, a jeśli rzecz prawdziwa i ma zabrzmieć wkrótce dla kogo radosne: Veni Creator — dowie się o tem dokładniéj ktoś inny, i sypnie brylantami swego stylu na suknie drużek i rozpuszczone panny młodéj włosy. —

Korespondencje: Z Krakowa 28 lutego i 1 marca. Z Warszawy.

Kraków 28 lutego

W dwa tygodnie po orzeczeniu Sądu konkursowego, dramat „Epidemja“, uwieńczony pierwszą nagrodą, stanął przed kratkami opinji publicznéj i uzyskał huczne oklaski. Podwójne to zwycięztwo nie może jednak żadną miarą zmusić krytyki do milczenia, ani wpłynąć na zwykły tok analitycznego procesu, do którego przystępujemy. —

Brzemienna wielu klęskami era autrjack. liberalizmu vulgaris, ukuta w Wiedeńskiéj kuźni, różne nałożyła pęta na sumienie i majątek c. k. obywateli. Na turniejach o koncesje na przeróżne mające się budować drogi żelazne i banki, wielu nieskazitelnych dotąd ludzi znalazło grób moralny. Gra zaś na giełdzie nowo puszczonemi, a na bańkach mydlanych opartemi akcjami, zniszczyła mienie i zbrudziła honor wielu bardzo, mniéj lub więcéj zamożnych domów. Galicja nie dała się w tym względzie wyprzedzić innym prowincjom państwa, i na ołtarzu publicznego, koncesjonowanego oszustwa, złożyła potężny haracz. Nie mając kapitałów na poparcie gospodarstwa krajowego, na istotnie potrzebne przedsiębiorstwa, gospodarując według metody, znanéj gdzieindziéj tylko z historji, znalazła ona przecież miljony na rzucenie w paszczę giełdowego Molocha. —

„Epidemja“ pana Narzymskiego jest właśnie udramatyzowaniem téj nieszczęsnéj giełdowéj namiętności w rozmaitych jéj objawach, odnośnie do osób i prawidłowego rozwoju, jak nam to następująca treść objaśni.

W domu zamożnego obywatela, Karwackiego, w gronie zebranych sąsiadów, przedkłada narzeczony jego córki, Marji, młody inżynier, Bolesław Stawiński, plan osuszenia 20 tysięcy mórg bagien, które zamienione częścią na łąki, częścią na torfowisko, przyniosłyby wielkie zyski, jak to ze szczegółowego rachunku wyprowadzone cyfry udowodniają. — Zebrani obywatele cyfrom nie wierzą i do proponowanéj spółki przystąpić nie chcą, ponieważ, jak sam Karwacki mówi, cały plan jest marzeniem, i ponieważ kapitały wszystkich niemal zebranych są już czynne — na giełdzie. Karwacki zna giełdę tylko z opowiadania, zachęcony jednak łatwym zyskiem i świetnem powodzeniem sąsiadów, postanawia zrobić próbę, ot tak dla zabawy, dla zaokrąglenia posagu córki, słowem, aby nie zostać w tyle za innymi, i w tym celu mimo zaklęć żony i próśb córki jedzie do Wiednia, gdzie związawszy się z bankierem, baronem Goldsmithem, zaczyna operacje coraz to na większą skalę. — W Wiedniu znajduje się pośród zgrai „Gründerów“ i całéj giełdowéj hałastry, z łona któréj wyraźniej od innych rysuje się postać dewotki, pani Kwockiéj, odmawiającéj różaniec i przestrzegającéj postów na intencją haussy. W gniazdo żmij jadowitych nikt jeszcze nie stąpił bezkarnie — to też zacny Karwacki zaczyna się szybko metamforozować. Gra namiętnie na giełdzie i żyje po magnacku; summa, jakiéj sobie życzył na wsparcie krewnego i zakrąglenie posagu, została o wiele przewyższoną zyskiem już półmiljonowym, tego mu jednak mało, on marzy o miljonie — lecz galopując fantazją, postanawia wrócić na wieś, mając czystego zysku półtora miljona reńskich. Chciwość pożarła w Karwackim dotychczasowe wyobrażenia; mierząc własną miarą, sądzi, że szczęście córki polega nie na zadowoleniu potrzeb jéj serca, lecz na zewnętrznym splendorze. Bolesław Stawiński wydaje mu się mierną partją i obyczajem wielu nierozważnych ojców, chce dla córki udzielnego księcia. Goldsmith rozkochany w Marji intryguje za pomocą Kwockiéj, jéj syna i Pieczeniarskiego; ostatni drukuje artykuł, obrażający Karwackiego, i podpisuje go cyframi Stawińskiego. Obrażony ojciec w niedbałéj o szczęście córki pysze bierze pochop do zerwania ze Stawińskim, co też brevi manu uskutecznia. Czynem tym zerwał Karwacki ostatecznie z przeszłością, przyszłość zaś coraz to groźniéj zaczyna się wyłaniać. Po gwałtownéj haussie następuje gwałtowniejsza jeszcze baisse. Przyjaciele Karwackiego bankrotują, on zaś sam widzi się nagle pozbawiony miljona, który już leżał w jego biórku. Mało tego — nieszczęście nigdy samo nie chodzi. Roznamiętniony Goldsmith nie mogąc wprost pozyskać ręki Marji, uknuł i za pomocą wychowanego u Jezuitów Artura Kwockiego wykonał potworną intrygę, któréj ofiarą padło nieskazitelne imię nieszczęśliwéj dziewczyny, w końcu zaś syn Karwackiego, Władysław, podmówiony przez Artura, nafałszował weksli na summę równającą się wartości rodzinnéj wioski. Zrujnowany do szczętu majątkowo, zabity na honorze obojga swoich dzieci, staje Karwacki na szczycie nieszczęścia, u brzegu nieuchronnéj zguby. Wówczas to staje przed nim Goldsmith z prośbą o rękę Marji, ofiarując w zamian swoje miljony. Haniebny handel ma już stanąć, gdy przybywa Stawiński, wykrywa wszystkie intrygi, zyskiem z osuszonych bagien płaci fałszywe weksle, ocala byt rodziny i — żeni się naturalnie z Marją. —

Taki jest organiczny proces dramatu, którego analiza wykrywa obok zalet również wiele stron ujemnych. Budowa całości wabi piękną i jasną formą, język i styl wytworny, ogólna charakterystyka zbiorowéj sytuacji równie, jak nić intrygi odznacza się oderzającą prawdą, tendencja zacna, jak w ogóle każda myśl przez p. Narzymskiego opracowana. Wyznać jednak należy, że obrobienie szczegółów, że odmalowanie pojedynczych charakterów nie jednako starannie a może niejednako umiejętnie zostało przeprowadzone. Cała familja Karwackich ma tylko charakter zbiorowości, jako familja, pojedynczy jéj członkowie są tak dalece bierni, że bez światła zapożyczonego od naczelnika, istnienie ich byłoby obojętne. Sam Karwacki w najważniejszych momentach dramatycznéj akcji występuje bez dostatecznych motywów, tak, że np. zerwanie ze Stawińskim jest tylko upozorowane, nie zaś uzasadnione. A przecież jestto punkt kulminacyjny, na którym przeszłość jego łamie się z nowem życiem, punkt, na którym w dramacie rodzi się Nemesis, aby idąc śladem występku lub błędu, nitki jego życia plątać i ciąć. — Trzy sceny Karwackiego na téj wyżycie przełomu z córką, Stawińskim i znowu z córką, są ze względu na ich wielkie znaczenie, na prawidła dramatycznego budownictwa zupełnie słabe, autor zbył je niejako nawiasowo, i miasto uderzenia w strunę dramatyczną fortissime, grał piano, zostawiając forsę na ustępy liryczne, których w tym utworze jest stosunko-

wo za dużo. — Charakter Pieczeniarskiego słabo także został opunktowany, a przecież to typ tak dobrze znany w naszem społeczeństwie, tak wdzięczny do obrobienia. Dziecię próżniactwa i czelności, wychowane pod opieką naszego pobłażania, lęgnie się dziś już tylko w magnackich pałacach. Autor mieszkając w Krakowie, miał niewątpliwie sposobność przypatrzyć się grasującym tu podobnym typom, szkoda więc, że Pieczeniarskiemu podrzędne tylko dał kontury.

Najstaranniéj i najtrafniéj nakreślone zostały charaktery Goldsmitha i obojga Kwockich; są to postacie zupełnie wykończone, którym nic nie mamy do zarzucenia. —

W końcu ze względu na rozkład pozwalamy sobie zrobić szanownemu autorowi uwagę, że druga połowa 3-go aktu jest zgoła niepotrzebną. Scena wykradania per procuratio opowiada się już w pierwszéj połowie tego aktu, a glosuje w akcie czwartym, wprowadzanie jéj zatem na scenę niema racji bytu — aut, aut, albo opowieść, albo czyn. —

Gra artystów była zadowalającą; p. Fiszer wywiązał się z roli Goldsmitha artystycznie, i jak powodowani słusznością, robiliśmy mu zarzuty w jednym z przeszłych listów, tak miło nam dzisiaj przyznać, że ostatnia jego scena oddaną była znakomicie. Charakterystyka twarzy odpowiadała podstawie moralnéj, reszta jednak powierzchowności i całość zewnętrznéj turniury nie odpowiadały potrzebie. Toż samo zupełnie stosujemy do p. Bendy, który sceny gwałtownych wzruszeń, a między innemi piękną nad wyraz scenę niemą z obwinioną córką, odegrał bez zarzutu.

Pani Eker (Kwocka) jest niezrównaną w rolach tego rodzaju, zauważyliśmy jednak w kilku miejscach intonacją ubarwioną pewną dozą komizmu, niewłaściwego téj dewockiéj kreaturze, która właśnie jest tém śmieszniejszą, im z większą powagą na serjo rezonuje.

Pani Parżnicka (Marja) nie psuje nigdy swéj roli, każdą jednak obrabia na ten sam sposób, jéj monotonne kwękanie nuży i usypia.

Ulubiony nasz bass buffo z operetek, p. Zamojski, grał rolę Pieczeniarskiego z wielkiem namaszczeniem, zdawało się widzieć na scenie kogoś znanego z ludzi tego powołania. —

Epizodyczną postać wiedeńskiéj lorety, Eweliny, oddała p. Hoffmann z taką werwą i elegencją, że przez całą, niestety krótką jéj scenę, sala trzęsła się od oklasków. Słowem dramat p. Narzymskiego miał wielkie powodzenie, a krytyka wytknąwszy usterki, przychylić się musi do wyroku sędziów konkursowych i publiczności. O'Le.

Kraków 1 marca.

Dopiéro z protestacji p. St. Dobrzańskiego dowiedzieliśmy się o prawdziwym autorze libretta do operetki Żaków, lecz jakże tu teraz rzecz pogodzić, skoro p. Anczyc, gdy po pierwszém przedstawieniu publiczność wywoływała oprócz kompozytora muzyki i autora libretta, za takiego najwyraźniéj w swojéj osobie kilkakrotnie się przedstawił i za oklaski odwdzięczał się ukłonami! Podobne wypadki zdarzają się nie w saméj tylko literaturze, ale nie wychodzi to zaraz na wierzch, bo podszywanie się pod cudzą pracę odbywa się skrycie; krążą wtedy głuche wieści, jedni wierzą, drudzy nie wierzą, i rzecz idzie w zapomnienie, — ale z literatami gorsza sprawa, wyłazi wszystko czarno na białém.

Dziś u nas ś. p. Bosak ciągle na porządku dziennym, — obudziło się poszanowanie dla prawdziwego bohatyra, a co zaiste szczególna, że cześć dla niego objawiają wszystkie stronnictwa; widać ztąd, że partja w czapeczkach błazeńskich nie ma jeszcze na teraz dość odwagi, by obrzucić błotem jednego z najlepszych synów Polski, lecz przyjdzie i na niego koléj, jak na wszystko, co tylko nasze, narodowe. Pomimo tak wielkiego dziś rozgłosu Bosaka, czy uwierzycie, że u nas nikt jeszcze nie kupił ani jednéj jego fotografji, chociaż pan Rzewuski posiada oryginalną kliszę, z któréj do rozprzedaży przygotował pewną liczbę odbić. Ciekawa rzecz, ile się rozejdzie egzemplarzy dziełka, którém się zajmuje p. Nowolecki w Krakowie. Ma ono zawierać życiorys Bosaka i portret jego we fotografji ozdobnie wydany.

Na nieustającą wystawę dzieł sztuki w Tow. Sztuk Pięknych Krak. przybywają ciągle nowe utwory artystów polskich, — sale są mocno zapełnione obrazami najrozmaitszéj treści. Wynikły jakieś nieporozumienia między dyrekcją tegoż towarzystwa a pewném gronem artystów, podobno w skutek złego umieszczania ich utworów. Sześciu artystów malarzy podało na piśmie zażalenie w tym względzie do dyrekcji, lecz gdy ta ich żądań nie uwzględniła, zerwali stósunki z towarzystwem i wystawione już prace poodbierali. Nie wchodząc wcale w rozbiór, po czyjéj stronie słuszność, trzeba przyznać, że tak mieszkanie, jak i urządzenie w niém dzieł sztuki obecnie zupełnie nieodpowiada najskromniejszym wymaganiom. Nie można sobie wystawić gorszego lokalu dla wystawy obrazów, jaki zajmuje Krakowskie Tow. Sztuk Pięknych, a za pieniądze dostanie każdéj chwili chociaż i w Krakowie mieszkania odpowiedniego; przecież 1,200 guld. austr. czynszu mieszkalnego płaci dziś Tow. Szt. Pięk. w domu Larisza, co jest sumką wcale nie małą! Za urządzenie zaś wystawy wedle statutu odpowiada komisja rozpoznawcza, a gdy téj nie ma, zdaje się dyrekcja w tym względzie ze wszystkiém na swego adjunkta, od którego trudno wymagać znajomości sztuki. Często najlepszych przedmiotów szukać trzeba w cieniu, w wyższych kondygnacjach, gdy lichoty z pięknemi ramami pierwsze miejsca zajmują.

Niezrozumiały nam jest alarm szanownego redaktora Tygodnia (w Dreźnie) o groby królewskie na Wawelu; zapewne niepokoi go ktoś z archeologów krakowskich, któremu nie daje spokojnie zasnąć kilka tysięcy guldenów, pozostałych od sumy wydanéj na restauracją grobu Kazimirza W. Mają one być obrócone na inny cel restauracyjny, czy też na posąg Jadwigi, według tego, jaka zapadnie uchwała. Musi to być korzystny szafunek grosza publicznego, skoro nasi archeolodzy tak się o niego dobijają. Przecież my tu w Krakowie chodzimy na Wawel, zwiedzamy groby królewskie, zwłaszcza oprowadzając ziomków, przybyłych z innych dzielnic Polski, a jednak nie możemy się dopatrzeć owéj nagłéj potrzeby restauracji. Przed kilkunastu laty był tu straszny nieład, woda do grobów zaciekała, wchód z trudnością odbywał się po drabinie, zaduch w tumbach bywał nieznośny; wówczas ś. p. Józef Mączyński, wielki miłośnik pamiątek narodowych (autor Pamiątki z Krakowa i Podań Krakowskich), chodząc po mieście, robił obserwacje i pisał: „Kartki z wędrówek po Krakowie“ które „Czas“ umieszczał w odcinku. Onto wywołał, rzekłbym, wymógł na kapitule krakowskiéj reperacją wielu najkonieczniejszych rzeczy w katedrze krakowskiéj, między innemi grobów królewskich. Naraził się Mączyński przez to na niesłychaną zawziętość kapituły, o czém świadczy broszura kapitulna, przeciw niemu wtedy wydana. Gniewali się kanonicy, ale do rzeczy wziąć się musieli; groby doczekały się radykalnéj naprawy.

Krypta, gdzie spoczywa Kościuszko, Sobieski i inni, potrzebowała chyba czystego utrzymywania, ale groby ostatnich Jagielonów i Wazów w opłakanym znajdowały się stanie. Kapituła wtedy sprawiła piękne, kręte, wygodne schody kamienne, z poręczą składaną ruchomą, z żelaza odlane fundamentalne drzwi z napisem: „groby królów polskich“, posadzkę w nich wyłożono starannie, w krypcie Wazów zrobiono, czy też lepiéj urządzono okienko na dziedziniec, którędy świeże

powietrze dochodzi do podziemia, wyłożono od południa płytami kamiennemi cały ganek, słowem wszystko, czego koniecznie było potrzeba. Ci zaś królowie, którzy nie leżą w kryptach, lecz pod swemi sarkofagami, jak Władysław Łokietek, Jadwiga, Jan Albert, Stefan Batory, nie wołają o ratunek, bo się nad nimi nic nie rujnuje. O zwłoki Władysława Jagiełły i Kazimierza Jagiellończyka toczą się spory, bo pomniki z pierwotnych miejsc przeniesione, trudno wiedzieć czy ze zwłokami? Z Piastów Bolesław Kędzierzawy i Kazimierz Sprawiedliwy mieli nagrobki na Wawelu, gdzie spoczywają ich zwłoki, ale pożar katedry jeszcze w r. 1306 je zniszczył.

O któreż więc groby królów na Wawelu tak bardzo chodzi?

Jedynie może sarkofag Kazimierza Jagiellończyka potrzebuje oczyszczenia, bo przecież w arcydziele Wita Stwosza cząstek poodtrącanych pod żadnym pozorem nie godzi się dorabiać; byłoby to nowe świętokradzkie targnięcie się na dzieło mistrza.

Z dziedziny teatru przyrzekł kolega mój zdać sprawę z przedstawienia uwieńczonych nagrodą na konkursie dzieł dramatycznych, tymczasem nadmienię, że Epidemja przez p. Narzymskiego nadzwyczaj dobrego doznała przyjęcia. Dziwno nam, dla czego Wł. hr. Koziobrodzki, autor świeżo drukowanego dramatu w odcinkach „Kraju“, pod tytułem: Klaudja, nie wystąpił z nim na konkurs dramatyczny — możeby się był dowiedział od poważnego grona sędziów o właściwéj wartości swego utworu. Czytelnicy Kraju uważają Klaudją za ofiarę dla zapełnienia feljetonów...

Wyszedł już pierwszy tom Pamiętnika autora Czarnéj Księgi; zawiera bardzo ciekawe wspomnienia z lat 1848 i 1849, obfitujących we ważne wypadki, których p. Czaplicki czynnym był uczestnikiem, a ponieważ jest to epoka, dotycząca żywo dzisiejsze pokolenie, wróżyć téj książce można wielkie powodzenie. Styl obrazowy, powieściowy, przyciągnie nawet czytelników saméj lekkiéj literatury. Wspomnienia swoje uzupełnia autor skreśleniem wydarzeń, będących w związku z niemi, w Galicyi i Księstwie Poznańskiém. Kilka jeszcze tomów zabierze dalszy Pamiętnik autora Czarnéj księgi, sięgający do naszych czasów; utworzy się z tego wielkie dzieło, pożądane dla każdéj polskiéj rodziny.

Ukazała się w Krakowie broszura polityczna, napisana przez p. Zubowskiego, obywatela krakowskiego, dotykająca pobieżnie kilku ważnych kwestji naszego miasta, a mianowicie traktująca o uporném a podejrzaném milczeniu rady miejskiéj wbrew opinji mieszkańców przeciw osiedleniu się u nas Jezuitów, o bigoteryjnym kierunku prowadzenia ochronek wbrew woli fundatorów, o Sukiennicach i stowarzyszeniach. Na końcu broszury przytacza autor zdanie, że „jeżeli w jakiém mieście jest za wielu protektorów i protegowanych, a za mało niezależnych, a zatém śmiałych ludzi, w takiém mieście protektorowie są wszystkiém, a ludność niczem.“ W tych kilku słowach, — treści bardzo wiele, jestto najwyborniéj określona przyczyna niemocy naszéj i jéj następstw. Wszystko się u nas dzieje przez protekcją, a jeśli z urny protekcyjnéj wyjdzie kandydat, godny do zajęcia przeznaczonego stanowiska, dzieje się to z dziwnego przypadku, często z śmiesznych przeciwstawień.

Czasy absolutne tamowały wyrabianie się charakterów silnych, nieugiętych, obdarzonych rozumem, lecz wypiastowały istoty nędzne, gnące się za powiewem wiatru, korzystnego dla ich interesów. W czasie najsilniejszéj germanizacji jakikolwiek urzędnik, czy profesor, dyrektor, jeśli nie odznaczał się gorliwością w przygnębianiu każdego objawu narodowego, stawał się osobą podejrzaną, „verdächtiges Individuum,“ a jeżeli po napomnieniach się nie poprawiał, tracił posadę, zaliczony do tak zwanéj „Umsturz-Partei. Prześladowani w ten sposob ludzie nabierali znaczenia w oczach patrjotycznéj publiczności, wielbieni przez ogół pragnący dobra ojczyzny, tworzyli powoli kontyngens osób, które z zaświtaniem konstytucji zbierały z rąk ludu laury w postaci mandatów poselskich, radzieckich i godności różnego autoramentu. Jeśli osoba z tak nazwanéj opozycji rządowéj miała głowę nie od pozłoty, a w niéj naukę, rozum a nadewszystko niezależny charakter, ludność nie doznawała zawodu z zaufania w niéj na ślepo położonego, ale niestety nader mały procent w Galicji pokazał się takich ludzi, po większéj części doznaliśmy rozczarowania, jak zwykle nie miłego, a ztąd powstała apatja do władz autonomicznych. Owi zaś ulubieńcy mało, albo wcale nam nieznani, umieli i do dziś dnia umieją korzystać z nieświadomości narodu; przy ogniu, który nas nie ogrzał, oni swoje pieczenie popiekli i śmieją się w duchu z „głupiego tłumu.“

Posłowie i radzcy pozostawali tak zwanymi Gründerami różnych kolei, bankow i innych przedsiębiorstw zyskownych, a nawet różne posady stałe zadzierżyli dla siebie, dla synów, krewnych i najbliższych przyjaciół, a nawet potworzyli posady dla swoich protegowanych, jeśli miejsc mniéj było, niż kandydatów. Ta czynność szła żwawo; pospiesznie w obec najślamazarniéjszego prowadzenia spraw publicznych. Lwów i Kraków dostarczyłby niesłychanéj kroniki skandalów w tym rodzaju. Wszystko dokonywuje się za pomocą intryg, w których ważną rolę odgrywają kobiety.

Wziąwszy dla przykładu Radę szkolną, rezydującą we Lwowie, przekonamy się choć w cząstce o prawdzie słów powyższych. Dwóch opozycjonistów z czasów obsolutnych dostarczył Kraków do rady szkolnéj, a pokaże się, jak umieli chodzić za sobą. Dymisjonowany profesor gimnazjalny p. Sawczyński, i również dymisjonowany dyrektor szkoły normalnéj, p. Hip. Seredyński, to typy ludzi wspomnianego rodzaju. Pan Sawczyński oprócz godności poselskiéj, zajmuje trzy posady płatne (wyraźnie trzy), urzęduje w Wydziale Krajowym, w Radzie Szkolnéj a jeszcze teraz został dyrektorem seminarjum żeńskiego, nadto dla wszystkich swych męzkich kuzynów, postarał się o urzędy autonomiczne. Pan Seredyński zostawszy radzcą szkolnym,przyznał sobie nagrodę (600 gld. austr.) za napisanie elementarza ludowego, syna swego zrobił najprzód nauczycielem przy gimnazjum Ś. Anny w Krakowie, a następnie profesorem pierwszéj klasy przy seminarjum żeńskiem i położył siebie na pierwszem miejscu do zatwierdzenia na inspektora szkolnego w Krakowie. Zięciowi zaś swemu, inspektorowi szkolnemu, p. Olszewskiemu, dopomógł do przyznania, wydanym przez niego Wypisom Polskim, obowiązkowego używania po szkołach. Książka ta odznacza się zepsutym językiem, przepełnionym germanizmami, o co było trochę krzyku po dziennikach. Gdy rozpisano konkurs na skreślenie zarysu, jak ma być napisany elementarz, najodpowiedniejszy dzisiejszym potrzebom, wystąpił z projektem pomiędzy innymi konkurentami, niepospolitych zdolności mąż, pełen gruntownéj nauki, p. Stanisław Zarański, znany jako historyk i pedagog znakomity. Projekt jego otrzymał pierwszeństwo, i na zasadach jego zarysu rozpisano znowu konkurs z nagrodą 600 gld. za napisanie elementarza. Zachęcony przyjęciem zarysu, napisał także elementarz p. Zarański, ale radzcom szkolnym żal było wypuszczać ze swoich rąk 600 gld.; uznali tedy wszystkie nadesłane rękopisy za nieodpowiednie, i uchwalili dwom z pośród swego grona (!) powierzyć napisanie owego elementarza, pozwalając z przysłanych na konkurs prac wyjmować części według woli i potrzeby, a autorom za ilość spotrzebowanych wierszy dać wynagrodzenie. P. Zarański zastrzegł sobie nietykalność swojéj pracy, którą wydał potem nakładem Tow. Przyj. Oświaty w Krakowie. Panowie Seredyński i Starkel,

obaj radzcy szkolni, wśród grona kolegów otrzymawszy mandat do sklejenia elementarza, według najświeższéj uchwały swojéj podzielili się nagrodą 600 gld.

Oto macie, Wielkopolanie, maleńką próbkę naszych autonomicznych korporacji, a żadna z władz tego rodzaju nielepsza od prześwietnéj rady szkolnéj. —

Warszawa 27 lutego 1871.

Już oddawna zbierałem się do Was napisać, ale ten karnawał szalony upoił mię całkiém tak dalece, że utopiwszy oczy w źrenicach méj jasnowłosėj, zapomniałem o wszystkiém — a tymczasem rozmaitych nowin zebrał się wcale duży snopek, z którym chciałbym się z Wami, owitymi w mgły nadgoplańskie, podzielić. Nam tu smutno i nie dziw — konskrypcja, wybierająca najszlachetniejszą krew z narodu, ledwie się skończyła... a patrzcie, co tam łez jeszcze drży perłową bielą na rzęsach za tymi, co poszli gdzieś, ginąć za nieswoje myśli i przekonania... Więc smutno nam po karnawałowym szale, po upojeniu wonią, muzyką, tańcem i błyskawicami ócz... A przecież rzecz dziwna, choć w psychologji znana, że wśród smutku tego, co jak czarna zmora cięży nam na piersiach, pragniemy wszelkiemi siły śmiać się, bawić, weselić... To też tutejsza prasa usiłuje zadość uczynić tym wymaganiom publiki. Pominąwszy to, że każde ilustrowane pismo sadzi się zawsze na jaki koncept słówka i słowa, zwykle za pośrednictwem p. Kostrzewskiego, który „przez łzy się śmieje“ jak ktoś trafnie powiedział, oprócz Kurjera Świątecznego, który mniéj wybredną publikę nasyca arcy-pieprznemi dowcipy, w tym roku pojawił się nowy tygodnik humorystyczny, p. t. Mucha. Ale ta biedna zimowa Mucha, choruje jakoś na brak humoru. Gryzie tylko wszystkich, spiera się i wojuje, choć wcale niezręcznie. Po niefortunnéj Musze, w ostatnich czasach pojawiło się nowe humorystyczne pismo, p. n. Kolce, wychodzić mające zeszytami co miesiąc. Nakładcą i redaktorem jego jest p. Mieczysław Dzikowski, ów wydawca przedruków Słowackiego i innych książek, o których póżniéj obszerniéj pomówię. Kolce są dość dowcipne — pominąwszy przedmowę, napisaną z uśmiechem na ustach a bólem w sercu, z tém mottem Słowackiego: „jeżeli gryzę co, to sercem gryzę“ — wyróżnia się tu anegdota Skiby Wołodego p. t. Bez końca. Humoru tu niema — ot sobie anegdotka i nic więcéj. Najdowcipniejszą jednak jest tu: „Oryginalna kronika oryginalnéj literatury dramatycznéj w Warszawie“ pisana w stylu biblijnym, przypominająca księgę rodu z Mateuszowéj Ewangelji. Kolce jako całość wreszcie nieźle się przedstawiają — życzymy im szczęścia i spełnienia celu, jaki sobie założyły.

Rezultat krakowskiego konkursu na najlepszą pracę sceniczną wiadomy Wam już zapewne. U nas sprawił on złe wrażenie — pomimo pochwał, oddanych dramatowi p. Józefa z Mazowsza „Markgraf Gero“ zdaje nam się dostrzegać w rozstrzygnięciu konkursu pewną parcjalność, bo proszęż was, sami tylko krakowscy literaci dostali premjum. Na teatrze u nas pojawiło się Fru-Fru, w którém pani Modrzejewska występuje w tytułowéj roli — krytyka tutejsza arcy-skromna, po większéj części potępiła tę komedją, ale publiczność ją dobrze przyjęła, czego dowodem jest, że zawsze sala na przedstawieniu jest pełna.

Ot i wszystko, com wam miał donieść. Dzikowski wydaje dwie nowe powieści: „Kobiety i mężczyzni“ Józefa z Mazowsza i „Życie za marzenie“ Walerego Przyborowskiego — zresztą cisza. Przesyłając serdeczny uścisk z naszego nadwiślańskiego grodu — wam mieszkańcom popielowych dziedzin, który oby na tęczobarwnych skrzydłach powietrznéj Goplany do Was dobiegł — żegnam Was — do widzenia!

Szkice z podróży w Tatry

przez

Walerego Eljasza.

(Ciąg dalszy.)

Uczucie, jakie ogarnia umysł na widok przepaści, mnóstwa dolin, szczytów, trudne jest do określenia; widok taki posiada siłę magnetyczną, przyciągającą, że prawdziwie zmuszać się przychodzi do oderwania się od nęcącego patrzenia, chociaż grozą nas przejmuje. Niepewność szczęśliwego powrotu jedynie niepokoi i mąci dumania tego rodzaju, bo siedząc na urwiskach turni, jak np. Wołoszyna, podczas mgły, gdy na kilka kroków wokół nic nie widać, lub w obawie deszczu, przez co spuszczanie na dół po skałach staje się niebezpieczném, nie może oddziaływać budująco, nadzieja zmiany zawsze przychodzi w pomoc. Jéj to ufając, w czasie mgły puściłem się z Wołoszyna przez Krzyżne na szczyt Wielkiéj Koszystéj, spodziewając się, że nim tam dojdę, wiatr rozpędzi chmurę. Na Wielką Koszystą droga jest obszerna, wygodna, gdyż grzbiet jéj składa się z wielkich głazów granitu, zwłaszcza od wschodu nie bardzo pochyło sterczących; nawet na najwęższych miejscach dogodnie jest stąpać. Wierch ma dwa szczyty, północny i wyższy od niego południowy (7047'), a widok wspaniały, czego można było na pewne oczekiwać. Wprawdzie nie widać Roztoki, ani doliny Pięciu Stawów, ale natomiast jeszcze więcéj szczytów, niż z Krzyżnego. Na Wołoszyn patrzy się ztąd, jak na dół z piętra i dlatego widać jego cały powykręcany kadłub, zdobny wierzchem jak w koronę, w dzierzgankę z szczerbatych głazów, tworzących dziką, poszarpaną linją grzbietu z kilkoma szczytami, z których najbliższy Krzyżnego jest najwyższym (6894'). Miejscami Wołoszyn tak ma grzbiet wązki, że ledwie po nim zdoła się człowiek przesunąć. Majestatyczny to wierch, szczególniéj, gdy się patrzy na niego z przeciwległéj strony Roztoki ze Świstówki, zkąd się przedstawia w fantastycznych kształtach, a imponuje niezmiernie całéj okolicy. Do Roztoki zejście z Wołoszyna wydaje się niepodobieństwem, lecz z Krzyżnego do dolinki Buczynowéj, a ztamtąd ponad Siklawę do doliny Pięciu Stawów można przejść, chociaż nie najlepiéj. Właśnie w tych miejscach na zboczu turni Buczynowych pasły się owce, szczekanie psów, wołanie juhasów i świstanie było słychać do nas na Wołoszynie.

Gdym napatrzył się ze szczytu Wielkiéj Koszystéj Wołoszynowi, zajęła mię grupa turni od zachodu się piętrzących, na przodzie Buczynowe, daléj szereg Granatów (szczyt środkowy 7090', szczyt południowy 7101'), a z pomiędzy nich wygląda Świnnica z najwyższym swoim czubkiem (7395'). Nadewszystko zaciekawia okolica Lodowego Szczytu, który od wschodu południowego łańcuchowi Tatr króluje; widać dobrze gościniec Spiski, od Jaworzyny Spiskiéj wśród lasu wiodący ku Podspadom. Od południa znów zwraca uwagę główną okolica Morskiego Oka, bo koło niego i za niém sterczą najdziksze szczyty: Mięguszowski, Ganek, Gierlach, Rysy i t. d. Chciałem się tu na szczycie Wielkiéj Koszystéj doczekać zupełnie odsłonionego widnokręgu, lecz napróżno trzy kwadranse przesiedziałem, zadawalając się kolejném studjowaniem tego, co się po rozsunieniu chmur tu lub ówdzie widzieć dało. Nad Zakopaném

słońce świeciło i jakoś ku dolinom się rozpogadzało, co na nas wesoło oddziaływało. Uradziliśmy z przewodnikiem wracać inną drogą, nie tą, którą na Krzyżne podążaliśmy.

O 1. godzinie opuściłem szczyt południowy Wielkiéj Koszystéj, udając się na dół wprost pochyłością góry, zeszedłszy niżéj grzbietem koło wywróconéj żérdki mierniczéj, zkąd wydawało nam się najbezpieczniéj się spuszczać, chociaż właściwie tędy tylko dobrze obeznani ze spinaniem się po turniach schodzić mogą i to jeszcze uchowaj Boże nie we mgle, gdyż często strome kawałki się natrafia, zkąd niewidać dalszéj drogi wcale, a tém samém łatwo zaleść na skałę, z któréj zejść niepodobna, a wracać wielka bieda.

W niespełna godzinę stanęliśmy u stóp góry, przypatrując się dopiero co przebytéj drodze; nabyłem tu znowu przekonania, że oku zawsze nie można wierzyć. Wydawało mi się bowiem, gdym szedł rano na Krzyżne, że tą drogą, którą sam po południu schodziłem, człowiekowi wychodzić na grzbiet W. Koszystéj jest niemożliwością, a jednak łudziłem się, jak się pokazało. Zdala gubią się zaklęśnięcia w skałach lub przerwy między kamieniami, które właśnie umożliwiają zejście, ale naturalnie osobom pewnym w chodzeniu po skałach, wolnym od zawrotu głowy na widok przepaści, bo zresztą taką drogą bojaźliwsi nigdyby się schodzić nie odważyli. Spuszczając się z Wielkiéj Koszystéj trochę daléj ku północy, o wiele lepsze napotyka się miejsca do schodzenia, lecz mój przewodnik nie troszcząc się wcale o wygodę, poprowadził mię najkrótszą drogą.

Herbaty byłem spragniony; odpocząć dłużéj godziło się, zwłaszcza gdy już przed sobą nie mieliśmy nic trudniejszego do przebywania, postanowiłem bowiem wracać do domu inną drogą, samemi dolinami. Przewodnik rozniecił ogień, nastawił wodę w naczyniu herbacianém, która niedługo zawrzała, a gdy naciągnęła herbatą, raczyliśmy się z przewodnikiem napojem, który można nazwać nektarem w górskich wycieczkach. Niebo tymczasem zaczęło się powlekać chmurami, coraz niżéj turni się czepiającemi, a nim spożyliśmy dary Boże, dészcz nastał, który nas do pochodu przynaglił. W kwadrans po trzeciéj godzinie ruszyliśmy w drogę wśród grubych kropli dészczu, obeszliśmy stawek Zielony, potém przebyliśmy sterty granitowe, gdzie nas mgła zaszła.

Przewodnik miał ochotę wstąpić do szałasu w Pańszczycy dla żętycy, jak przyrzekliśmy po drodze napotkanym przed południem juhasom, lecz nie udało nam się go odnaleść wśród gęstéj mgły, a późniéj grubego deszczu. Ścieżka zawiodła nas na podnóże Żółtéj Turni, na grzbiet lesisty, zwany Bobrowiskami. Po mchach, borowinach, zewsząd moczeni, brnęliśmy na przebój lasem, gdzie im głębiéj, tém nam było gorzéj. Dostaliśmy się w jakieś górskie mateczniki, jakich się łatwo nie zapomina, zwłaszcza gdy komu przyszło, jak mnie, przebywać je w słocie.

Nadgniłe kłody drzew burzą powalonych, gałęzi połamanych, głazy różnego kształtu, dziury zalane teraz wodą, zamienione w moczary, sterczące konary nisko zarosłych świerków, wszystko razem utrudniało nam niezmiernie pochód, często nawet do ziemi pochyleni przedzierać się musieliśmy, zlewani po grzbiecie i za kołnierz nagromadzoną wodą w gałęziach, a oprócz tego niebiosa strugami zlewały na nas płynne błogosławieństwo. Zaprawdę w takich warunkach wycieczka nawet dla tak, jak ja rozmiłowanego w górskiéj przyrodzie, stawała się nieznośną, zniechęcającą do dalszych wypraw po Tatrach tego lata.

Brnąc po bezdrożu, usłyszeliśmy głosy ludzkie, ale nie mogliśmy się do nich dostać wśród gęstéj mgły, i przewodnik instynktem się tylko kierował, aby nie zbłądzić. Zrzekliśmy się w zupełności szałasu, chodziło nam teraz o jak najrychlejsze dobicie się do jakiéj drożyny znośniejszéj. Stanęliśmy na krawędzi grzbietu dość nagle spadającego ku Suchéj Wodzie, potokowi toczącemu się od Stawów Gąsienicowych. Spuściwszy się nadół, natrafiliśmy na leśną drożynę, którędy postępując, naturalnie bardzo wygodnie w porównaniu z dotychczasową drogą, nadeszliśmy nad potok płynący z Pańszczycy. Tu nam przyszło iść prawie ciągle łożyskiem potoku, to po kamieniach, to w bród po wodzie, aż nas drożyna wywiodła na łączkę, gdzie trzeba było główny strumień przebyć. Tą razą Sucha Woda wezbrana nie dała sucho przechodzić po sobie. Potok spieniony, krzykliwy, płynąc pełném korytem, tylko w bród jeszcze dozwalał przeprawy. A więc prosto w wodę mierzyłem kroki, nie mając już nic do stracenia, ale przewodnik usiłował jeszcze po czubkach kamieni sterczących z wody skakać, co mu się w kierpcach jako tako udawało. Słota w górach, ta niewysłowiona plaga dla podróżnego, przyczynia i pomnaża przeszkody na każdym kroku, które się zwalczać musi. Potok, który nam teraz narobił w przebyciu kłopotu, w zwykłym stanie po głazach z łatwością, zaledwie z zamoczeniem końca buta dawał się przebywać tędy z polany Waksmundzkiéj, a dziś, gdybyśmy tu jeszcze chociaż o dwie godziny się spóźnili, groził niebezpieczeństwem, nawet niemożliwością przebycia. Była już godzina piąta. Deszcz gruby ustał, drobny jeszcze rzęsił, drożyna wiodła ciągle lasem, mijając się z innemi, szliśmy bez końca po błocie, po kałużach znaną podróżnym drogą z Waksmundzkiéj Polany do Jaszczurówki. W godzinę, t. j. o szóstéj dociągliśmy jak do przystani, do Jaszczurówki, a zatem dosyć wczas, skoro od Zakopanego dzieliło nas jeszcze pół godziny drogi.

Przekonałem się, że wycieczka na Krzyżne nie jest tak daleką, jak mi opowiadano, aby z niej aż nocą trzeba było wracać, skoro ja mogłem koło 7 godziny przed wieczorem stanąć w Zakopaném bez żadnych wysileń, owszem z przeszkodami tego rodzaju, jak słota. Zapewne zależy to od sił, jakiemi podróżny rozporządza, tém bardziéj, gdy wycieczka na Krzyżne na równi staje z Zawratem. —

(Ciąg dalszy nastąpi).

Skrzynka do listów.

P... Br... w Modrz... Przesłaliśmy życzony egzemplarz.

Panom F... X... i Władysławowi St... we Wrocławiu: Nadesłane nam wiersze zamieszczone będą.

Panu F... z Grodziska: Z nadesłanych wierszyków drukowaną będzie „Kołysanka."

Panom H... W..., A... B... w W..., p. M... i p. Burzy we Wrocławiu: Zastrzegamy sobie ostateczną decyzją.

Panu Bol... Rog... „Memento mori" i „Smierć zbiega" nie nadają się do druku; o „Życiu" późniéj wypowiemy.

Panu S... Sk... w Krakowie: „Amulet" pański drukowanym nie będzie.

Panu O... C... we Wrocławiu: Wiersze ś. p. Kr... wkrótce się ukażą. — Przy znacznéj liczbie ciągle nadchodzących prac trudno żądać, ażebyśmy odpowiadali zawsze odwrotną pocztą.

Panu C... K... w Ismaïlii: Serdecznie dziękując za łaskawą pamięć, zasyłamy braterskie pozdrowienie. — Odezwa generała Garibaldego powtórzoną już była kilkakrotnie w naszych czasopismach. — O okrucieństwach, jakich dopuszcza się najazd, — nam głosić nie wolno. Wiadomo, jak niegdyś Teutonia krzewiła chrześciaństwo w ziemiach słowiańskich, — jak niemieccy Krzyżacy nawracali Prusy i Litwę. Historja zakonstatuje różnicę pomiędzy średniowieczną a nowoczesną Teutonią.

Panu Dr. N... w Gn... Dziękujemy za łaskawą pamięć i życzliwość. — O wzmiankowanéj pracy chyba późniéj pomyślimy; — obfitujemy bowiem obecnie w tego rodzaju utwory.

Sprostowanie.

Do przeszłéj kroniki Tygodnika wkradła się omyłka drukarska, którą prostujemy tém skwapliwiéj, że zmienia ona zupełnie sens odpowiedniego ustępu. Oto pomiędzy wyrazem: jedyny, a: polski zakład fotograficzny, — opuszczono: po panu Seyfriedzie.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.